

**XII Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Marii Komornickiej**  
**Kozienski Dom Kultury im. Bogusława Klimczuka - KOZIENICE 2014**  
**Dina Staszak - kategoria dorośli - proza - wyróżnienie**

**Muza**

Mógłbym zapytać ją o wiele. Od kiedy wynajmuje to mieszkanie, gdzie się urodziła, o czym śniła tej nocy. Dlaczego założyła tak brzydki sweter. Swetry to moja specjalność, mogła zapytać mnie o zdanie przed zakupem, ale ach, rzeczywiście, wtedy jeszcze się nie znaliśmy. Cukru? Chcesz szklanki cukru? A po co ci cukier? No to wejdz, zapraszam, z przyjemnością zaparzę ci kawy z cukrem. Nie, nie szkodzi. Też nie śpię od czwartej.

Przepuszczam ją w drzwiach, włosy ma związane nad karkiem, cieniutkie – mysi ogonek, oczy też mysie, lekko wylupiate, ruchliwe, tylko kolor jakiś inny, nieokreślony. Prowadzę ją do kuchni, nastawiam wodę, otwieram paczkę herbatników, ona siada na krześle, ręce splecione na kolanach, próbuje uśmiechnąć się uprzejmie – nie wychodzi jej to, ale nie szkodzi, czasem też tak mam; w gruncie rzeczy zawsze tak mam o piątej nad ranem.

Mówi, że kawa jest dobra, czarna i słodka, bierze do ręki ciastko i macza je w kubku, skupia na nim całą swoją poranną uwagę. Mówi też, że ma na imię..., ale to nieistotne, ja już nazwałem ją Łucją – przybyła do mnie o wschodzie słońca<sup>1</sup>, kiedy niebo za oknem się zaczerwieniło, a rozmoczone ciastko rozpadło się i utknęło na dnie kubka jak kotwica.

„Herbatniki w kawie” – dobry tytuł, myślę, paradoksalny i intrygujący. Lekki romans, historia idealnego związku: on codziennie przynosi jej do łóżka kubek kawy, ona co niedzielę piecze blachę jego ulubionych herbatników; potem jakiś konflikt, katastrofa, jedno umiera, drugie się dręczy, wspomnienie maczanych w kawie herbatników. Albo kryminał – w pewnym mieście mężczyzna rozkochuje w sobie dziewczęta, chodzi z nimi do kawiarni, kupuje na wynos latte, potem częstuje herbatnikami, „sam upiekłem” – chwali się, a dziewczęta rozczulone zjadają wszystko i popijają kawą, potem tracą przytomność, mężczyzna zadowolony gwałci je i zabija. Policja bezradna, miasto w strachu, w kawiarniach coraz mniej klientów, w końcu ojciec jednej z ofiar postanawia...

„Co to za roślina?”, pyta Łucja, w kąciку ust ma okruszek herbatnika, na czole zdziwienie; zastanawiam się, ile ma lat, wygląda na szesnaście, ale może też mieć ponad dwadzieścia. „To dzbanecznik” – odpowiadam. – „Żywi się owadami, jak żaba. Dzbanki

---

<sup>1</sup> Łucja – imię pochodzenia łacińskiego; oznacza dziewczynkę urodzoną o wschodzie słońca.

wypełnione są płynem trawiennym i działają jak pułapki, do których wpadają muchy, motyle, osy, czasem nawet ważki”. „Biedne”, komentuje Łucja. „Komary też zjada”, próbuję ją rozbawić, ale ona wciąż patrzy smutno na mojego dzbanecznika, kawa stygnie, jej słodka i moja gorzka, słońce wypełza powoli nad linię horyzontu, a Łucja mówi: „Wiesz, ja preparuję ćmy”. Milczę, bo nie wiem, co to znaczy; brzmi makabrycznie.

„Moja sypialnia przyciąga owady – nocą ćmy, bo śpię przy zapalonych światłach, a w ciągu dnia motyle, te ostatnie jednak mnie nie interesują” – tłumaczy Łucja. – „Rano znajduję je na ścianach, małe i duże, z zaokrąglonymi albo ostro zakończonymi skrzydłami, w odcieniach szarości, brązu, beżu; czasem są całkowicie białe, dziewicze, ale tych nie lubię – są zbyt niewinne jak na ćmy”. „Mów dalej”, zachęcam ją łagodnie, w końcu nie na co dzień opowiada się obcej osobie o preparowaniu ciem, nie codziennie też pija się kawę u obcego mężczyzny; nie chcę jej spłoszyć. Łucja: „Łapię je do słoika i zatruwam, potem – martwe już – wsuwam do kopert i czekam, aż wyschną. Wbijam w środek tułowia szpilkę i wpinam ćmę do rozpinadła, rozstawiam skrzydła, ustawiam odwłok i czułki”. Podnosi na mnie oczy i dodaje: „Rozpinadło to taka podstawka, zazwyczaj drewniana, kładzie się na niej płasko owada, tak, żeby jego skrzydła...”. „Czy nie jest ci ich żal?”, przerywam dość gwałtownie, słońce całkowicie wychynęło już nad horyzont, wielka jasnożółta kula, a Łucja odpowiada: „Nie, skąd, przecież to samobójcy”.

Dramat. Holandia albo Belgia. Mężczyzna i kobieta, dwójka dzieci, dojrzała jak brzoskwinia miłość, dzieci giną w wypadku samochodowym, kobieta wpada w depresję, popełnia samobójstwo – nieudane. Podłączona do aparatury podtrzymującej życie, śpiączka, chór lekarzy: „Odłączyć – nie odłączyć?”, mąż nie wie, co zrobić. Zakończenie otwarte – nie wiadomo, jaką decyzję podjął, wybór należy do czytelnika; niech się ludzi, że jest współautorem.

„Pyszna kawa”, mówi Łucja i uśmiecha się, nadal nie wiem, jaki kolor mają jej oczy. „Jeszcze jeden kubek?”, pytam, nie chcę, żeby już odchodziła, mieszanka zieleni, błękitu i szarości, odrobina brązu. „Jeśli to nie problem”, odpowiada ona i przeciąga się lekko, powieki mruży jak kotka, słodko, tylko te oczy, takie nieokreślone, dziwne.

Jest niemożliwie chuda. Ostro zaznaczone kości policzkowe, wystające obojczyki, palce u rąk jak gałązki. Chciałbym podnieść jej koszulkę i policzyć żebra, zobaczyć drobne piersi, we wgłębieniu brzucha położyć dłoń, powiedzieć: „Moja chudzinko”. Utulić te wszystkie kości.

Łucja: „Dlaczego akurat dzbanecznik?” i „Dziękuję”, kiedy podaję jej kubek z kawą. „Kiedyś codziennie śniły mi się dzbaneczniki” – odpowiadam. – „Uznałem to za znak”.

„Znak czego?”. „Weny twórczej”. Czekam, aż zapyta, co mam na myśli, o jaką wenę mi chodzi, ale ona nie pyta, patrzy tylko, w moich dłoniach kubek z kawą, w jej herbatnik, łamie go na kawałki i wsuwa między zęby, mówi: „Mnie codziennie śni się kobieta w ciąży, zawsze ta sama, nie wiem jednak, jak ma na imię; jest rudowłosa i ma jasną cerę, właściwie chorobliwie białą. W tym śnie błąkam się po jakiejś opuszczonej wsi, wchodzę do każdego domu, wołam, czy ktoś jest, szukam określonej postaci, ale prócz wygłodniałych szczurów i psów nikogo nie znajduję. W końcu wchodzę do stodoły, chcę odpocząć, zdrzemnąć się, uciec od tego wszystkiego, wtedy słyszę znaczące dźwięki, idę za nimi i w kącie stodoły napotykam wychudzoną kobietę z wielkim brzuchem, oddaje się jakiemuś mężczyźnie, on dyszy głośno, ona zaciska zęby. Podbiegam do nich, odciągam mężczyznę i krzyczę na nią – jak może, przecież ciąża, zaraz będzie rodzić, niech się nie kurwi chociaż teraz, a ona rzuca się na mnie z pięściami i tym brzuchem i woła: »Co tam dziecko, ja chcę chleba!«, na twarzy mam jej ślinę i smród oddechu, robi mi się od tego niedobrze; budzę się”.

Ma strwożone oczy, kładę dłoń na jej chudej rączce i ściskam lekko, nie odsuwa się. „Śni mi się to codziennie”, powtarza, odkłada pusty kubek, dziękuje mi za kawę, ciastka, towarzystwo – dobrze wychowana panienka. Poprawia na ramionach ten swój brzydki sweter, dziękuje raz jeszcze i wychodzi.

Jestem pedantem, myję więc od razu brudne naczynia i wycieram na mokro stół. Głodna kobieta w ciąży. Jest nastawiona negatywnie albo wszystko jej jedno, byle pozbyć się brzucha. Wina po stronie kobiety. A może dziecko w łonie jako pasożyt wyniszczający matkę...? Odstawiam czyste kubki do szafki; nie potrafię się zdecydować, którą stronę przedstawić jako tę pokrzywdzoną.

Motyw matki próbującej uwolnić się od bachora jest przereklamowany. Co innego płód odbierający matce całą energię życiową. Biorę z szuflady biurka jeden z czystych zeszytów i na pierwszej stronie zapisuję: PASOŻYT. Następne godziny spędzam na rozpisaniu szczegółowego planu wydarzeń i charakterystyki postaci.

Wieczorem wypijam pół butelki whisky, siadam do komputera, oglądam to, co zawsze, potem szukam telefonu, wybieram numer, przedstawiam się i dodaję: „Vanessa, na już”. „Nie ma”, odpowiada męski głos, „Zachorowała. Mogę zaproponować panu Maritę, jest nowa”. „Dobrze”, zgadzam się od razu.

Zjawia się po półgodzinie. Niska, rudowłosa, mnóstwo makijażu. Bluzeczka marszczy się na obfitym biuście, talia ściągnięta paskiem, błyszczące pantofelki na stopach. Zapraszam ją do środka, częstuję whisky. Pije szybko i chętnie. Mała zdzira.

Po wszystkim zapalam papierosa, biorę prysznic, potem wchodzę nagi do sypialni, chce mi się spać. Na szafce nocnej znajduję pieniądze, dziwi mnie to – miała wziąć kasę i spierdalać, zapomniała...? Szukam zapalniczki, co jak co, ale dziwka nie zapomni – myślę sobie, dostrzegam zapalone światło w kuchni; Marita siedzi przy stole, różowe majtki i gołe nogi, czyta moje notatki z dzisiejszego popołudnia i uśmiecha się durnowato. Nie widzi mnie, jebana suka, wrywam jej kartki i uderzam z całej siły w twarz, chlusta krew, dziwka spada z krzesła i wyje, macha rękami jak opętana, chcę, żeby przestała się wydzierać, chwytam ją więc za kurewsko pomarańczowe włosy i walę głową o stół, po kilku chwilach wreszcie milknie. Sflaczałe ciało opada na podłogę. Nastaje cisza.

Zapalam papierosa, jednego i drugiego, potem wywlekam ciało Marity na balkon, przykrywam dokładnie folią; obok zawieszam doniczkę z moim dzbanecznikiem – niech wreszcie zje porządnie. Wracam do kuchni i usuwam ślady krwi – wielkie czerwone kałuże na podłodze i stole, plamy i odpryski na ścianach. W końcu kończę sprzątanie, kuchnia lśni – jestem z siebie dumny, zapalam ostatniego papierosa i idę spać.

„»Swetry«? Dlaczego tak zatytułowałaś powieść?”, dopytuje. Jest piąta rano, niebo zachmurzone, dwa kubki świeżo zaparzonej kawy na stole; Łucja ma na sobie intensywnie niebieski sweter, przy którym jej oczy wreszcie decydują się na jakiś określony kolor – błękitny. Obejmuje dłońmi swój kubek i wlepia we mnie źrenice. „Trudno powiedzieć” – mówię wreszcie. – „Swetry mają w sobie coś, moim zdaniem, bardzo osobistego, są jak odcisk palca. Te sploty włóczki, wzory, zapach, jaki ciągnie się za rękawami... Dziwnie to jednak brzmi; nie musisz odpowiadać”. Wymuszam uśmiech na własnych ustach, trochę mi głupio, plotę bzdury jak warkocze, a ona mimo wszystko odpowiada: „Jesteś czarujący”.

Jej mała zimna rączka.

„Gdzie jest dzbanecznik?”, pyta znowu. „Sprzedałem”, odpowiadam bez chwili namysłu i dodaję: „Przestałem wierzyć w znaki i sny”. Łucja unosi brwi i mówi: „Och, jaka szkoda, polubiłam go. Ale wiesz, tak w temacie snów – przestał mnie dręczyć koszmar o tej ciężarnej kobiecie. Tej nocy po raz pierwszy od wielu tygodni nie śniła mi się. Myślisz, że to kwestia zmiany mieszkania?”, o ile to możliwe, unosi brwi jeszcze wyżej i patrzy na mnie jak na wyrocznie. „Nie znam się na tym”, odpowiadam i zanurzam herbatnika w kawie. „Ale cieszę się razem z tobą”, dodaję po chwili.

A może motyw częstych przeprowadzek...? Nieustanne zmiany mieszkania, hotele, wynajmowanie pokoju na kilka, kilkanaście dni. Powód – ucieczka, mentalna, oczywiście,

ucieczka od koszmarów nocnych albo wieczna obawa przed zatrzymaniem się w miejscu, popadnięciem w rutynę. Bohater: młody mężczyzna zżerany przez ambicje własne i matki. Efekt: jakaś choroba psychiczna; musiałbym wybrać się do biblioteki i zajrzeć na półkę opatrzoną etykietą: PSYCHOLOGIA. PSYCHIATRIA. Narracja pierwszoosobowa.

Łucja wodzi palcem po brzegu kubka i wydyma delikatnie usta – nudzi się albo próbuje mnie uwieść, ciężko powiedzieć, ważne, że ma dziś na sobie ładniejszy sweter niż wczoraj, niebieski kolor sprawia, że jej oczy... W końcu mówi: „Nad ranem przyśniło mi się jednak coś nowego. Wielki kokon motyla zawieszony na ścianie, jeszcze nigdy takiego nie widziałam – nawet w snach. Kolor: jasnoczerwony. Dotknęłam go palcem, chciałam sprawdzić strukturę, a on wtedy zaczął drżeć i pękać, aż w końcu, jak się domyślasz, wypełznął z niego motyl, właściwie ćma – poznałam to po czułkach”. Przerywa na chwilę i dopija kawę. „Co najdziwniejsze” – kontynuuje – „kiedy ćma wreszcie cała wylazła i rozprostowała skrzydła, a były one soczyście rude, rozległ się płacz dziecka, jakby było głodne albo czegoś chciało, chociażby utulenia”. „I co było dalej?”, dopytuję, a Łucja na to: „Obudziłam się. Dziwny sen, prawda?”. Przytakuję.

Powieść. Piękna dziewczyna po zmroku przemienia się w ćmę, jej chłopak nienawidzi insektów więc, niczego nieświadomy, co noc usiłuje ją zabić. Za dnia zwraca się do niej: „Kotku”, mimo, iż nie znosi praktycznie wszystkich zwierząt. Dziewczyna boi się powiedzieć mu prawdę, nie chce go stracić... Tak, to mogłoby się sprzedać.